

Dorota Kozieradzka, Michał Szuszkiewicz

*Wykapany Adam*

2013

xerokolaż, druk cz-b

14x18,5cm

„OPIS PRACY”

WSTĘP DO OPISU

W przekonaniu autorów niniejsza praca sumuje doświadczenia współpracy i przenosi je na poziom genetycznego krzyżowania współżycia, gdzie mnogie komórki i elementy pochodzących z dwóch odmiennych form życia wspólnie buduje nową jakość. Wszystko dokonuje się w mikroskali, tak, iż pojedyncze elementy tracą na znaczeniu na rzecz "szumu" tkanek. Nieprzekładają wręcz ilość obiektów na centymetr kwadratowy jest możliwa dzięki połączeniu klasycznej metody kolażu ze współczesnymi technikami montażu fotograficznego, całość w duchu odchodzącej do lamusa techniki xero.

Skojarzenia ze szlachetnymi technikami graficznymi będą również jak najbardziej na miejscu, o czym świadczyć może sposób sygnowania prac. Złożoność całego procesu poddaje w wątpliwość użyteczność wszystkich wymienionych przeze mnie technik. Można wręcz odnieść wrażenie, że techniki wyśmiewają się nawzajem. Ktoś powinien chętnie powiedzieć, że wysuwam zbyt pochopne wnioski, albo lepiej - że potrzeba dogłębnej analizy skierowała mnie na wątki poboczne. Nim więc pogrążę się w bezproduktywnej pracy, pozwolę sobie na jeden wniosek. Otóż jest dla mnie jasne, że obcowanie z *Adamem* powinno być czujne jak stąpanie po zamrzniętym jeziorze, być może bezcelowe, ale na pewno ekscytujące.

ROZWINIĘCIE OPISU

Wrómy zatem do tego, co wydaje się na tę chwilę najistotniejsze i niech nikt nie mówi, że zabieram się za tekst od niewłaściwej strony. Zajmiemy się genezą dzieła, na tyle wnikliwie, żeby nikt już nie mógł dodać więcej w tej kwestii, odszyfrujemy, penetrujemy, obnażymy nie tylko założenia twórców, ale i wszelkie możliwe nieświadomione impulsy, które nimi powodowały, zważając na dalszych decyzjach w procesie kreacji.

Z pomocą przyjdą mi sami artyści, których szczęśliwie uśpiło moje uprzejme usposobienie na tyle, że zdradzili kilka tropów, a nawet szczegółów biograficznych [na marginesie - zupełnie nie pojmuję, dlaczego niektórzy artyści tak niechętnie tłumaczą odbiorcy znaczenie swoich prac, uważam że powinni to robić i potrafić to robić, kiedy tylko zajdzie taka potrzeba]. Nic nie podejrzewając, wyjawili, że na samym początku myślenia o *Adamie* wiedzieli już, w jakiej technice powstanie praca, że będzie mała, i że nic nie będzie na niej widać, nie wiedzieli tylko, czego nie będzie widać. Z pomocą przyszedł im stary ulubiony horror odrzany po latach - *The Fly* Davida Cronenberga. W filmie ponura wizja naukowych eksperymentów końca wieku staje się tłem dla samodoskonalenia bohatera obrazu. Seth Brundle jest bliski przełomowego odkrycia mającego zrewolucjonizować nasze życie. Coś o czym wspominali dotychczas jedynie natchnieni wizjonerzy - czyli teleportacja - właśnie staje się faktem. Zasadnicze odkrycie okazuje się jednak nieistotne wobec przypadkowego wywołanego zdarzenia. Najbardziej odległa teleportacja, jaka ma miejsce w filmie, przenosi bohatera parę metrów dalej, w drugi kąt pracowni naukowca. Dużo dalej, w odległości liczony już nie w metrowej skali, lecz miłowych kamieniach ewolucji, przesyła Seta pechowa wpadka polegająca na umieszczeniu siebie w jednej kapsule z muchą. Futurystyczne wizje ludzkości schodzą w cień w obliczu nowej gałęzi nauki. Początek inżynierii genetycznej, czyli „geneza genetyki”, cóż za okropny polip językowy postanowił wyrosnąć na pierwszych kartach naszej historii.

Skoro jednak doszliśmy aż tu, na sam początek, pojawiło się też słowo genesis, które pewnie nie chciałoby mieć nic wspólnego ze wszystkimi tymi potwornościami, to konieczne będzie wklejenie własnej, alternatywnej wersji *Początku świata*:

„*Stworzenie Świata* to kolejny wspólny projekt Doroty Kozieradzkiej i Michała Szuszkiewicza. Artyści postanawiają udowodnić strukturalną jednorodność wszechświata. W tym celu budują go od nowa, zamieniając jednak miejscami jego elementy. To wielowymiarowe "pomylenie" miejsce dokonuje się przewrotnie w zaskakująco prostej i, wydawałoby się, mało szlachetnej technice jak jest xero. W porównaniu do dotychczasowych realizacji duktą Kozieradzka-Szuszkiewicz, jest to projekt oszczędny, wręcz skromny. Jego siła leży w prostej metodzie i równie prostym założeniu, że zasada homologii nie dotyczy wyłącznie organizmów żywych, lecz wszystkich innych znanych nam form w przyrodzie.”

*Twórcza natura śniła i tu i tam ten sam sen, a jeśli można mówić o naśladownictwie, to z pewnością o wzajemnym tylko. (...) Jeśli dobrze rozumiałem naszego gospodarza, to interesowało go zagadnienie jedności ożywionej i owej tak zwanej nieożywionej przyrody, oraz myśl, że wobec niej żyjemy, wyciągając zbytnie przyznaną między tymi dwiema dziedzinami, gdyż w istocie jest ona przecież graniczną i właściwie nie ma takiej elementarnej zdolności, która byłaby wyłącznie zastrzeżona dla stworzeń żywych i której biolog nie mógłby studiować również na nieożywionym modelu.*

Thomas Mann *Doktor Faustus*

*Stworzenie Świata*, 03.2013, Galeria Wizytująca w Warszawie

Czyli już wiemy jak rozumieć pochodzenie *Wykapanego Adama*. Rzeczywiście staje się on całkiem podobny do swojego imiennika, o ile jest jego imiennikiem pierwszy człowiek ze *Stworzenia Świata* Kozieradzkiej i Szuszkiewicza, ten homologiczny stwór, zmuszony do życia na "pomieszanej" planecie.

Pięknie wszystko zaczyna się układać, choć równocześnie pojawiają się znamiona niebezpiecznej gry. Czy bowiem biografia twórców może trwać sama w sobie, innymi sły, czy artystycznie „bio” to przypadkiem nie słaba emanacja żywej biografii, a w takim razie czy ta pokręcona konstrukcja nie jest przyznaniem się do winy, do twórczej niemocy wobec prostego aktu poczęcia i następnych równie oczywistych zdarzeń w życiu człowieka?

NIE KAŻDA KRZYŻÓWKA GENETYCZNA OWOCUJE NOWĄ FORMĄ ŻYCIA, ALE TWÓRCZY PRZYPADKEM, CO KTÓRYŚ RAZ, RODZI NOWY GATUNEK POWSTAŁY W WYNIKU MUTACJI.

Korzystając z beczennej chwili pozbawionej myśli zadumy, chciałabym rozwinąć nieco szerzej temat pracy Kozieradzkiej i Szuszkiewicza. Ustaliśmy ponad wszelką wątpliwość, że genetyka nieco perwersyjnie skrzyżowana z księgą Genesis jest kluczem do odczytania Adama. Sugerują to sami autorzy, wynika to z interpretacji tytułu, wreszcie wskazuje na to ich poprzednia wspólna praca, czyli *Stworzenie świata*. Niech zatem ciągłość naszego wywodu będzie ostrzeżeniem dla wszelkiej maści teoretyków lub po prostu fanów czytelnich opisów dzieł sztuki wizualnej! Podążanie w jednym logicznym kierunku oślepią nas nieraz zupełnie, nie pozwalając dostrzec tego, co mamy przed nosem. A tam, proszę Państwa, widać się robactwo zmieszane w kleistej magmie z ludzkimi wnętrzościami. Czy można wyobrazić sobie bardziej naturalistyczne i dosłowne ukazanie przemijania. Jak to możliwe, że umknęła nam (a może tylko mi?) tak banalna refleksja? Oczywiście nowo odkryty aspekt omawianej pracy nie zmienia jakoś diametralnie jej przekazu. Uznajmy raczej, że wpisuje się gładko w „biologiczną” tematykę. Dodaje tylko nieco „mroku” tej i tak niezbyt jasnej pracy.

A tymczasem, jakby niechcący, udało nam się znaleźć blade refleksy palących problemów współczesności, tematów siedmiomiliardową społeczność. Och, jak My kochamy, kiedy sztuka staje się polityczna, kiedy nas poucza, jest naładowana, gotowa do użycia w światopoglądowej walce z wrogiem. Co na to sami Twórcy? Chrzanić ich! Niech się cieszą, że mają gdzie pokazać! Nie można liczyć się z fanaberiami tej rozpieszczonej grupy, kiedy idzie o sprawy najcięższej wagi! Weźmy, wykorzystajmy, zmieńmy kontekst jeśli trzeba, przecież się wykorzystamy do nas wdzijemy, i uśmiechaj:

...jest przykładem ukazania w sztuce lat dwudziestego pierwszego wieku sprzeczności między nauką i religią...”

- Hola! – Krzyknął i złapał mnie za pysk Artysta. Odepchnęłam go jednak szybko, bo był chlerlawy nawet bardziej niż ja.

- Czy ty Misiu naprawdę myślisz, że o czymś możesz decydować? Jesteś tylko rzemieślnikiem, wytwórcą produktu. A może nawet i tym nie. Jesteś niepotrzebny, chyba że rynek zdecyduje inaczej, chyba, że Ja zdecyduję inaczej! Ale teraz znużdliś mi się, możesz odejść w cień, twojej pracy już nie chcę, bo się obraziłam, w ogóle nie będę się do ciebie odzywać, a wtedy znikniesz...

Jak powiedziałam, tak się istotnie stało. Posiadałam bowiem fantastyczne moce. Mogę mówić tak i nie i tak się dzieje albo nie.

Przepraszam za drobną dygresję. Miewam czasem takie sny na jawie. To efekt postępującego rozdwojenia jaźni. Pogubiłam się zupełnie. Już nie wiem, czy jestem Nią czy Nim, a może Nimi? Przyjmijmy, że jestem sobą i mam robotę do wykonania. Jestem sobą, oddech, jestem sobą, oddech, jestem sobą, oddech, to zawsze pomaga...

W tym całym natłoku wrażeń zapominałam zająć się kwestią rozmiaru omawianego obiektu. Niewielki format (przyjmijmy dobroduszenie, że nie jest wyłącznie efektem galerijstycznego zamówienia) służy tym samym celom, co wspomniane już wykorzystanie techniki xero, czyli ujednoliceniu, nadaniu swoistego rytmu, płynności. Myślę, że wysiłek, któremu poddajemy nasz wzrok, wpatrując się w szczegół *Adama*, jest adekwatny do ilości pracy włożonej w tę realizację. Można by sobie wyobrazić, że jest ona ogromna np. rozmiarów *Bitwy pod Grunwaldem*, ale wtedy byłaby równie efektowna, co niemądra. Czy wielka skala nie jest przekłamawana? W każdym razie nie można zaprzeczyć, że służy obecnie przede wszystkim celom reklamowym. Kiedy wszystko wokół krzyczy i domaga się naszej uwagi, my skierujemy ją w stronę rzeczy subtelnych, nienachalnych, po prostu skromnych.

*Wykapany Adam* podsuwa nam taką oto refleksję:

Możliwość wyrażania siebie w wielkich formatach to nie jest jakaś szczególna cecha naszych czasów. Natomiast rewolucyjne i wspaniałe jest to, że możemy stworzyć miniaturę, nie posiadając w najmniejszym stopniu sprawności miniaturzysty.

O UKŁADZIE SCALONYM

Rzeczywiście nowe wnioski przyniosła ta burzliwa dyskusja z samą sobą, świadcząc doszliśmy do czegoś wartego tych emocji. Oto nowa myśl, zakiełkowała w głowie i rozrosła się w dół, zupełnie jak w przeszłość, bo chociaż nie do tyłu, to przecież także nie w kierunku, w którym zazwyczaj wszystko wzrasta w czasie czyli w górę. Nowe myśli już prawie zaskwitły na dole, tyle wydaje się, że minęło czasu od ostatniego spojżenia w górę. A tam, tzn. w górze, zawisa praca, o której mówimy i raczej jej rozmieszczenie dalekie jest od dołu. Cóż się perspektyw dzieje na naszych oczach! Otóż patrzmy na nią z dalszymi warkocza kosmy, a wokół ukazują się mgławice, planety i układy, rozbityski, wybuchy, czarne dziury.

I w tym całym pięknym kosmosie, znów rysuje się przeraźliwa wizja zagłady, bo przecież taki zrównoważony, kolorowy wszechświat nie może istnieć naprawdę, on musi być wymyślony przez jakiś próżny umysł. I ta myśl sprawia, że układ romantyczna fatamorgana, która widzę, bo za chwilę wszystko wraca do normy i znajdujemy się na wystawie sztuki współczesnej.

POWRÓT DO MERITUM

Istota sprawy wcale nie jest tak złożona i znajduje się parędziesiąt centymetrów wyżej. To mało efektywna czarno-biała plama oprawna w ramkę. Ale w tym właśnie jej urok, że nie będąc przedłgim tekstem pełnym kieszonkowej literatury, w jakiś magiczny sposób przechowuje tę samą treść. Napisałam "opis do pracy", ponieważ chciałam stać się cząstką biegu rzeczy, sprawić, by opis stał się dziełem. Nie wiem, czy to akurat mi się udało, ale jestem przekonana, że trudno już teraz odebrać *Adama* zupełnie niezależnie, bez "ogona", zobaczyć go znów pięknego w swej prostocie i małomówności. Jeżeli nawet obrzydziłam Wam to pierwsze wrażenie, trudno, pomyślcie jednak, jak często ktoś odbiera Wam też przyjemną niepewność swoich uczuć, wkręcając w zamian jasność i przejrzystość godną teorii naukowej.

POCZĄTEK KOŃCA

Cały czas waham się przed podjęciem decyzji, czy na końcu powinien być koniec. To jak w jednej bajce, która w tytule miała koniec, więc nie wiele jeszcze mogła czytelnika zaskoczyć. A ja, ponieważ mój bohater ewoluował, coraz bardziej przagnął w tym opisie zostawić puste miejsce, i nie po to wcale, by oddać hołd sztukom wizualnym, raczej dla uświęcenia swojej pracy. Według pewnego mędrca wybitne dzieło zawsze powinno posiadać jakąś ułomność, słabszy element. Moim zdaniem to bzdura, choć miła zapewne dla ucha kogoś, kto sam pragnie stworzyć coś wielkiego. Nie chodzi o niedoskonałość, ale o niedopowiedzenie i jeżeli nie jest na nie za późno, to chciałabym je teraz napisać.

Wyobraźmy sobie zamek, w którym mieszkają wszyscy moiżni pewnego niewielkiego królestwa. Wyobraźmy sobie, że w tym królestwie jest słaba i wspaniała ułomność, przyjaźnią, współnymi interesami. Wyobraźmy sobie, że wszyscy moiżni tego kraju są biedni, bo to w ogóle jest biedny kraj, ale udają przed sobą, królem i poddanymi, że są bogaci i wpływowi. Król już niczego nie udaje, bo ma związane ręce, ale wszyscy inni udają.

A teraz wyobraźmy sobie, że Na Skraju Lasu nieopodal płotku mieszkają sobie zwierzęta wszelkich gatunków i rozmiarów. Moiżni nazywają je poddanymi i być może zwierzęta powinny się obrazić na tę zniewagę, ale prawda jest taka, że niespecjalnie je cokolwiek interesuje oprócz ich skromnego życia, o którym wiedzą, że jest skromne, ale jednocześnie pełne uroku. Zwierzątka kochają tę swoje życia nawet bardziej niż moiżni swoje i bardziej też je narażają. Narażają, bo muszą szukać pożywienia w ciemnym lesie. Tam natomiast jest bardzo niebezpiecznie, ale lepiej zginać w groźnym lesie niż w tłumie bezmyślnych stworzeń, które upatrują swej życiowej szansy, przesiadując pod murami zamku.

Na szczęście rzadko ktoś ginie w mrocznym lesie, prawdę mówiąc, ostatni nieszczęśliwiek stracił tam życie dwa sezony temu, a był to bóbr-drwal, którego przyniołto drzewo podczas wycinki. Zresztą ciężko mieć o to do drzewa pretensję, bo, jak wszyscy wiedzą, drwal pił dużo wody z jeziora. Zawsze jednak Mroczny Las był uważany za niebezpieczny, i to się nie zmieniło. Ciężko bagatelizować zagrożenie o którym nic nie wiadomo, wiadomo natomiast, że mieszkańcy znad Skraju Lasu wzorowo przestrzegali zasad bezpieczeństwa.

Jedyna sytuacja w której uchyla się wszelkie obostrzenia, to odbywający się cyklicznie Konkurs, nie mający sobie równych w tej części Królestwa. Konkursowe zadanie jest bardzo proste: kto wejdzie najdalej w las, ten wygrywa. Chociaż uczestnicy Konkursu często starają się pokazać od jak najdalszej strony, osiągnąwszy w tej konkurencji rozmaite rekordy, takie jak „najdalsze wejście w las na biegówkach”, czy „najdalsze wejście w las w butach” lub „najdalsze wejście w las na jednej nodze”, a ostatnio nawet „najdalsze wejście w las, oddychając wyłącznie powietrzem z butelki”, chociaż zdobywcy tych rekordów są ulubieńcami tłumów, to jednak, takie przynajmniej można odnieść wrażenie, poważne jury zawsze ogłasza zwycięzcą tego, kto najwyżej wchodził w świecie wszedł najdalej. Niniejsza zasada, o ile rzeczywiście istnieje, czyni Konkurs w miarę sprawliwym, mówię w miarę, bo przecież nigdy nie można mieć pewności, że nie dochodzi do żadnych nieprawidłowości podczas trwania rywalizacji, gdzieś głęboko w gęstzynie, kiedy nikt nie patrzy... Rzeczą jasną powstaje się na tym tle niemało spekulacji, ale narrator nie jest miłośnikiem plotek, poza tym historia, którą zamierza opowiedzieć, wydaje jej się o wiele ciekawsza i na pewno znacznie bardziej krwawa od tych kulaarowych opowieści.

Rzecz miała miejsce wiele lat wcześniej, kiedy Konkurs był jeszcze bardzo młody, jego zasady różniły się nieco od obecnych. Nikt nie pamięta na czym te różnice dokładnie polegały. Podobno miały dotyczyć na przykład strojów sportowców. Dziś wydaje się oczywiste, że dla krowy optymalny ubiór będzie inny niż dla osła. Wtedy, jak się zdaje, tego nie rozumiano, więc wszyscy zwierzęta miały nosić identyczne stroje startowe. W wyniku tego uniwersalny kostium konia ucisłał w szyję, psa dusił w kłębce, kota łaskotał w ogon, a kogutowi odbierał zdolność widzenia. Gdyby mierzyć szanse uczestników zasadami ergonomii to z pewnością wygrałby kbur. Poza tym jednak, że strój dodawał mu męskości, nie miał cudownych właściwości i nie potrafił zmieniać praw natury, które nie czynią knura ani najszybszym ani najdzielniejszym. Walka o najwyższe trofeum trwała zatem tego roku w najłepsze, gdy pojawiły się pewne niespodziewane okoliczności przyrody. Wszystko zaczęło się od tego, że kot złapał kaszel. Kaszel miał okropny, więc inne zwierzęta omijały go szerokim łukiem w zrozumiałej trosce o swoje zdrowie. Tak też zrobił koń, który nadkładając drogi, uderzył w galop po niepewnej ścieżce. Ścieżkę właśnie przecinał jej i omal nie doszło do tragicznego wypadku. Na szczęście jeź okazał się mieć lepszy refleks i wykonując fantastyczny unik, dosłownie zmienił bieg wydarzeń. Jakże bowiem w innym razie koń niosłby jeża na grzbiecie. Dziś brzmi to równie niedorzecznie, jak wtedy wyglądało. Korzystając z jeżowego refleksu, rumak popędził drogą pełną wystających gałęzi, dziur, dołów i wzniesień, ścieżką mroczną, ale też i prowadzącą najgłębiej w las. Niestety jeź okazał się nie zupełnie uczciwy i sercu lasu pozostawił swego wierzchowca samemu sobie, i bez żadnych wskazań. Kiedy jeź zobaczył, że jest bezpieczny, wykopał norkę, zapalił świeczkę i do późnej nocy zaczytywał się opowieściami o swoich bohaterkich przodkach. Światło spostrzegł lis, który przyłączył się do konkursu w ostatniej chwili, bowiem do samego końca szacowne jury nie było pewne, czy posiada on wystarczające obycie w sprawach gospodarstwa i można traktować go jak swego. Rzeczywiście Lis był niezupełnie oswojonym zwierzęciem i kiedy głód mu zajrzał w oczy, nie mógł opanować krwawej żądy na widok palącego się światełka zwiastującego cywilizowany posiłek. Tak skończył się żywot szczawanego jeża, ale i drapieżny lis nie pożył długo, stając się ofiarą swego spontanicznego działania. Czający się niedaleko pies, który cenil sobie przyjaźń z jeżem, oberzucił zaistniałą sytuacją, postanowił zemścić się okrutnie na krwiożerczym lisie. Jak wiadomo nie ma lepszego przyjaciela niż pies, więc możemy sobie wyobrazić, co uczynił pies z mordercą swego ziomka. Być może krwawa jatka na tym by się skończyła, gdyby nie sfera władzy. Przechodzących opodał. Sfera to dużo powodziłane, w tamtych czasach przedstawiciele owego gatunku było naprawdę niewielu. Obecna tu para uznana została za sferę przez leśnika w momencie, kiedy przybyłszy z północy wymordowali całą zgraję jej kuzynów, twierdząc później, że nie mieli pojęcia, iż strzelają do gatunku zagrożonego wyginieciem. Wilki nie czuły nienawiści do psa i może uszłoby mu na sucho, gdyby nie jego własny instykt, który kazał mu beżmyślnie obrazać wilki lesie szczeniem. W wyniku całej tej krwawej epopei, nie pozostał w lesie żaden z zawodników, z wyjątkiem, no właśnie, dzielnego indora. Ten, jak się okazało, wykazywał się odwagą wyłącznie na swoim wybiegu, a przez cały czas trwania konkursu siedział ukryty pod stosem gałęzi pięć minut od miejsca do lasu. Powyższa historia nie miała specjalnego moralu, bo przecież nie wyznosiła indyczego tchórzostwa ponad cechy innych zwierząt. Do dzisiejszego dnia nikt jej nie spał, bo nie przynosiła chlubny zwierzęcej społeczności. Ja jednak życzyłabym sobie, by stała się przestrogą dla wszystkich, którzy wierzą w twórczą moc przypadku, upatrując w nim swego sprzymierzeńca. Są i inne wnioski tak samo mądre, jak po każdej krwawej jatce: że nikt nie jest taki jak się wydaje, że prawdziwa przyjaźń prowadzi do prawdziwej nienawiści, że w skrajnych sytuacjach zwierzęta potrafią być okrutnie prawie jak ludzie, że trzeba zaostrzyć względy bezpieczeństwa, aby móc wychować zdrowe społeczeństwo. To doprawdy rozkoszne, że bezkresna groza jest nośnikiem wszechobecnym wartości.